

Marcel Loureiro

POKALIPSA

POCZĄTEK KONSA

POCZĄTEK KONSA

Zombiaki po hiszpańsku

A.Mason



Autor: Manel Loureiro

Tytuł: *Apokalipsa Z. Początek końca*

Tłum.: Joanna Ostrowska, Grzegorz Ostrowski

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Stron: 413

Cena: 34,99 zł

Czy fani zombizmu są na pokładzie?

Zombie zaistniały w naszej popkulturze w latach sześćdziesiątych za sprawą Nocy żywych trupów Georga Romero. I wracały dość regularnie, przy okazji premier kolejnych filmów oraz gier. Powieści były dużo rzadsze, ale też się zdarzały. Mamy więc dość dobrze ugruntowany obraz zombie: trupio błądy, wydaje jęki i charczenia, porusza się niezbyt szybko, powłócząc nogami, często ocieka krwią (własną lub cudzą), bywa, że jest bardzo uszkodzony, nie myśli, nie używa narzędzi, kieruje się raczej najprostszymi instynktami, a właściwie jednym – chce jeść. A je oczywiście mięso, najlepiej ludzkie. I to jest ostatnia cecha – zombie gryzą. Czasem, w niektórych filmach lub książkach, zombie może się nieznacznie albo nawet dość mocno różnić od tego opisu. Bywa, że zombie poruszają się szybko, biegają. Bywa, że są inteligentniejsze od opisanych na wstępie. Że używają narzędzi, nawet broni. A nawet – że świadomie działają w grupach, dzielą w nich funkcje. Niemniej, najbardziej zakorzeniony, wręcz klasyczny opis to ten, który przytoczyłem.

Pod tym względem *Apokalipsa Z* nie serwuje nam żadnych nowości, żadnego zaskoczenia. Zombie są tutaj klasyczne do bólu. Czy zatem autor spróbował nas zadziwić i przyciągnąć innymi nowinkami, czy spróbował przełamać stereotyp zombie survivalu?

Szukając informacji o książce, można dowiedzieć się co nieco o jej historii. A ta jest bardzo zbieżna z konstrukcją powieści, autor pisał kolejne fragmenty na swoim blogu. Powieść przeczytało w ten sposób kilkaset tysięcy czytelników i stała się przebojem Amazona. Manewr, trzeba przyznać, interesujący, jeśli przekonamy się, że bohater również relacjonuje swą historię kolejnymi wpisami, najpierw na blogu, potem w dzienniku. Jak więc wyszła autorowi ta specyficzna narracja? Prawdę mówiąc, nie jest szalowo szokująca. Ani lepsza, ani gorsza od zwykłej narracji pierwszoosobowej czy

personalnej. Być może nabiera waloru szczególnej atrakcyjności dla czytelników niezbyt wyrobionych, ale dla kogoś, kto książki z niejednego pieca czytał, to po prostu nic szczególnego. Fajne? Fajne. Ale bez bajeru.

Mamy tu więc powieść o zombie, która mieści się doskonale w stereotypie, zarówno tym dotyczącym istoty zombiaków, jak i opisu rozprzestrzeniania się zarazy, reakcji ludzi, paniki itd. Napisaną przy tym w formie umiarkowanie ciekawej. A znajdziemy w niej też parę szczegółów, do których można się przyczepić – np. w miarę rozszerzania się zarazy po całym świecie, z coraz większej ilości miejsc dochodzą relacje, które jakoś nie pachną ani bohaterowi, ani mediom czy rządowi, jak dobrze znany popkulturowy motyw zombie. Wszyscy więc zastanawiają się, co to za choroba, informacje są filtrowane przez władze, nikt nic nie wie. I tak jest dość długo. Wierzyć się nie chce, że – mając dość dobrze ugruntowaną filmową i książkową wiedzę zombie survivalową – ci ludzie tak długo poruszają się w mgle niewiedzy.

Czy można więc o tej powieści powiedzieć coś dobrego? Wbrew pozorom – jak najbardziej!

Weźmy choćby miejsce akcji. Zasypani jesteśmy filmami i książkami z kręgu kultury anglosaskiej, rzadziej azjatyckiej. O ile ciekawiej czyta się taką historię, gdy – zamiast Nowego Jorku, Londynu, Bostonu, Manchesteru czy nawet lokalnego Sweetwater Creek – padają nazwy Pontevedro, Vigo, Santiago de Compostela, A Coruna. Gdy opisywani są Hiszpanie, którzy myślą o świecie trochę inaczej niż oklepani Amerykanie. Inny lokalny folklor, choć w zrozumiałym dla nas, zachodniokapitalistycznym świecie, to wielka zaleta.

Najważniejsze jest jednak to, co udało się osiągnąć autorowi w opisie historii. Która może sama w sobie nie odbiega od innych zombiackich opowieści – są zmienne koleje losu, borykanie się z dużą ilością żywych trupów, ciągła ucieczka i szukanie celu, miejsca, w którym być może istnieje jakaś enklawa wolna od zarazy. Siłą prozy Manuela Loureiro są szczegóły, sprzedawane nam oszczędnie, nawet nieco chaotycznie, dokładnie tak, jak relacjonowałby je bohater, rzeczywiście znajdujący się w tak trudnej, kryzysowej sytuacji. Dowiadujemy się więc ciekawych rzeczy, na przykład o totalnej ciszy panującej w miejscu opanowanym przez zombie. O tym, jak każdy, banalny dla nas, dźwięk (np. odgłos pracującego silnika samochodu, zamknięcia drzwi, rozmowy) rozchodzi się w tej ciszy daleko i... jak zwabia zombiaki. Albo o ich sposobie poruszania – że choć posuwają się powoli, to subiektywnie ma się wrażenie, że zbliżają się bardzo szybko, tak bardzo oddziałują na bohatera ich ilość i zmiana sytuacji wokół. Albo: że taranowanie zombie samochodem to wcale nie taki dobry pomysł, bo jeśli któryś wpadnie pod auto, może dość łatwo uszkodzić zawieszenie pojazdu, które – wbrew pozorom – nie jest wcale tak odporne. Takie szczegóły pozwalają zbudować klimat, atmosferę opowieści, a czytelnikowi – wczuć się w sytuację bohatera, stać razem z nim w tłumie zombie i – nerwowo przełykając ślinę – ścisnąć spazmatycznie rękojeść pistoletu.

A to przecież tylko początek. Pierwszy tom trylogii. Zdecydowanie warto na kolejne części poczekać.